ROK DRUGI.

—

№ 49.

Warszawa.

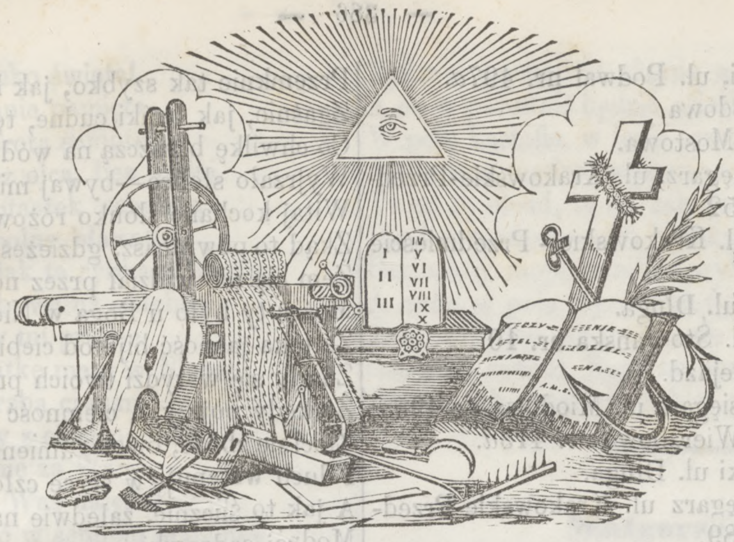
Dnia 24 listopada

(6 grudnia).

1857.

Niedziela

2. ADWENTU.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Ilekroć przyjmujesz ciało Chrystusa i rozpamiętywasz tę tajemnicę, tylekroć dopełniasz dzieła odkupienia twego i stajesz się uczestnikiem Chrystusa. Nigdy się bowiem miłość Jego nie zmniejsza i nie wyczerpuje obfitość miłosierdzia Jego. (O naśl. Chr. K. 4 R. 2).

Ogłoszenie

Od Redakcyi Czytelni Niedzielnéj.

Czytelnia Niedzielna i na rok następny 1858, a 3ci swego istnienia, w tym samym formacie, treści i cenie wychodzić będzie.

Prenumerata jéj wynosi:

w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80.
„ półrocznie „ 90.
„ kwartalnie „ 45.
„ miesięcznie „ 15.

Na prowincyi i *w Cesarstwie* rs. 2 rocznie, a z kopertami rs. 4. Kto zaś prenumeruje w kopercie jedno z pism peryodycznych Warszawskich, płaci tylko rs. 2 rocznie, którą to opłatę w *takim razie* Redakcye pism rzeczonych przyjmować będą. Prenumerować można na wszystkich urzędach i stacyach pocztowych, oraz w Warszawie:

I. W pocztowéj Expedycyi gazet.
II. W redakcyi Czytelni przy ulicy Chmielnéj nr. 1527.
III. W Kantorze Głównym przy ulicy Krakowskie-Przedmieście pod nr. 391, i
IV. W kantorach szczegółowych, które utrzymują Panowie:

1. Smoliński kupiec, ulica Marszałkowska nr. 1396.
2. Błaszkowski kupiec, ulica Krakowskie-Przedmieście nr. 395.
3. Betcher kupiec, ul. Krakowskie-Przedmieście nr. 404.
4. Sztebler księgarz, ulica Nowy-Świat nr. 1319, 20,21.
5. Potrzebski kupiec, ul. Nowy-Świat nr. 1260.
6. S. Rozmanith ul. Nowy-Świat.
7. Schmidt i Kwaśniewski ul. Elektoralna.
8. Tybuchowski kupiec, Nowy Świat nr 1305.
9. Staliński kupiec, ulica Nowy-Świat nr. 1274/5*a*.
10. Dąbrowski Sto-Krzyzka.
11. Rutsch kupiec ul. Książęca nr. 1752.
12. Radzińska han. norym. ul. Krakowskie-Przedmieście nr. 407.
13. Krajewski ul. Mazowiecka nr. 1352*b*.
14. Koelichen, ul. Długa nr. 595/6.

15. Ciechanowski, ul. Podwal nr. 497*a*.
16. Tytz ul. Miodowa.
17. Kryszka ul. Mostowa.
18. Natanson księgarz, ul. Krakowskie-Przedmieście nr. 452.
19. Lewenhard ul. Krakowskie-Przedmieście nr. 375.
20. Daszkiewicz ul. Długa.
21. Rozmanith ul. Sto-Jańska nr. 10.
22. Reich ul. Przejazd.
23. Klukowski księgarz ul. Miodowa nr 495*a*.
24. Bysiński ul. Wierzbowa nr. 413*d*.
25. Kędzierzawski ul. Długa.
26. Zawadzki księgarz ul. Krakowskie-Przedmieście nr. 389.
27. Szafir ul. Freta.
28. Wiśniewski ul. Nowe-miasto.
29. Grabowski ul. Graniczna.
30. Schuster ul. Wierzbowa
31. Szczyciński ul. Wierzbowa.
32. Wojczyński ul. Wierzbowa nr. 614*b*.
33. Rakoczy ul. Wierzbowa nr. 473*b*.
34. Neuding ul. Żabia.
35. Friedlein ul. Senatorska nr. 460.
36. Kalinowska ul. Senatorska.
37. Swierczewski ul. Leszno nr. 671*b*.
38. Zakaszewski ul. Krakowskie-Przedmieście nr. 391.

Szanowni prenumeratorowie, mianowicie na prowincyi zamieszkali, raczą wcześniéj się zapisywać, aby uniknąć opóźnienia w otrzymywaniu Czytelni Niedzielnéj.

Ranek dobrego pastuszka.

—

Ha, Bogu dzięki! już dzionek wstaje:
Ptaszki do światła lecą na wzgórek,
Senne marzenia strząsają z piórek;
Poranną pieśnią zagrały gaje,
I ptaszek chwali Boga, jak może,
I po swojemu modlitwy śpiewa;
Bo też szczęśliwy: nie żnie, nie orze,
A Bóg go dobry karmi, odziewa.
Plusnęła rybka w przejrzystym stawie,
Bańka za bańką wytryska z toni,
Kółko za kółkiem figlarnie goni,
Urośnie, zniknie i po zabawie.
Bożeż, mój Boże! czyż ludzkie życie
Przemknie tak szybko, jak kółka owe,
Zgaśnie, jak bańki cudne, tęczowe,
Co chwilkę błyszczą na wód błękicie?
Wyjrzało słońce—bywaj mi zdrowe,
Witaj kochane słonko różowe!
Zkąd to powracasz, gdzieżeś to spało,
Żem cię nie widział przez nockę całą?
Możeś ty było u Boga w Niebie,
Że taka jasność bije od ciebie,
Że zły się wstydzi twoich promieni,
Że kędy pojrzysz, ciemność ucieka,
Złoci się zboże, owoc rumieni,
I duch wstępuje w serce człowieka.
A jak to ślicznie, zaledwie na dno
Modréj sadzawki twe oczy padną,
Wraz się jéj woda ogniem zapala
I złotem igra leciuchna fala.
Wszystko się cieszy z przybycia słońca,
Różane chmurki lecą wesoło,
Tylko nad wodą wierzba płacząca
Zwiesiła smutnie zielone czoło;
A ja tę wierzbę kocham tak szczerze.
Dziadzio powiadał, że ona sobie
Cicho wyrosła na dobrych grobie,
Płacze nad niemi, szemrze pacierze
I lada lekkim wiatrem trącona,
Dobywa jęki z tkliwego łona.
Co to być dobrym!—to i Bóg kocha,
Po śmierci płaczą zielone drzewa,
W gałązkach wierzby ptaszek mu śpiewa,
I człek poczciwy po nim zaszlocha.
A mówił dziadzio: na złych mogile
Wzrastają osty, ciernie, badyle,
Syczy na straży zjadliwa żmija,
Nikt nie zapłacze, każdy omija.
A długo, długo ludność wioskowa
Brzydkie postępki w pamięci chowa
I dzieciom wskaże, że tu zły leży...
Niech mnie Bóg zawsze od złego chroni.
Ot na kościołku dziadulo dzwoni,
Budzi gromadkę dzwon do pacierzy;
Więc i ja klęknę, ukorzę czoło,
To mi dzień cały zleci wesoło.

(klęka i składa ręce do modlitwy)

Cześć Ci Ojcze, coś dla téj jutrzenki
Dał tak kraśne, prześliczne sukienki.
Chwała tobie naszéj ziemi słonko,
Tarczo nasza, królowo, patronko!
Ty nam stróżysz i wednie i w nocy,
Słabym dziatkom spieszysz ku pomocy.

Boże mocny i Panienko święta!
Wasza dobroć i o mnie pamięta.
Ja wsród obcych sierota samotny,
W świat rzucony bez ojca, bez matki,
Przeciem sobie jak ptaszek ochotny,
Rosnę pięknie, jak polne bławatki;
Zdrowym, rzeźwy, jak ta rybka w stawie,
Przy starunku nie zbywa na chlebie,
I sieroctwo nie ciąży mi prawie,
Bo w Was ojca i matkę mam w Niebie.
A jeżeli wraz z wierzbą czasami
Dumam smutnie, łzy z oczu pocieką,
To dlatego, że tęsknię za Wami,
To jedynie, żem od Was daleko!
Lecz Wy zaraz, choć w senném marzeniu
Zstępujecie, by cieszyć sierotkę,
Lub aniołek zlata po promieniu,
To piosneczki zawodzi mi słodkie,
To o raju rozpowiada dziwy.
Mówi zawsze: i ty będziesz w Niebie,
Tylko pracuj, bądź zawsze poczciwy,
Módl się szczerze za braci, za siebie,
To cię Ojciec i Matka przygarnie,
Wnet ci jasne skrzydełka wyrosną,
Będziem razem bujali figlarnie,
Będziem wieczną cieszyli się wiosną.
Więc jak ze snów tak słodkich się zbudzę,
To już sobie na ziemi nie nudzę,
A pracuję, chętnie ludziom służę,
Byle zostać aniołkiem tam w górze.
Dobry Boże! i ten dzionek oto
Z pracą pilną i serca ochotą,
Z łzą wdzięczności niech kornie poświęcę
Na cześć Tobie i Świętéj Panience.

(wstaje i ogląda się dokoła)

Ale już słonko dobrze dogrzéwa,
Buczy jałówka i skacze sobie,
Konik rży w stajni przy pustym żłobie,
Beczy owieczek trzoda poczciwa.
O tak wam spieszno? czekajcie ino,
Pójdziem się napić, wykąpać w stawie,
Potém pospieszym zgodną drużyną
Bawić się razem na miękkiej trawie.
Ja z modrych kwiatków uplotę wieńce,
Krzyż w nie ubiorę, by ołtarz jaki,
W końcu fujarkę z wierzby ukręcę,
Będę od ucha grał krakowiaki,
Żwawe mazurki na całe sioło
Wygrywać będę raźnie, wesoło;
A wy będziecie skakać swobodnie
Tylko w gromadzie, sfornie a zgodnie.
A co w południe będzie uciechy!
W polu kartofle, w lesie orzechy,
A dla was rżysko, soczysta trawa;
To mi to obiad, to mi zabawa!
Ho, ho, a od się— no byczku stary,
Baziuchny moje, koniku kary!
A nuże! w pole wyruszym duchem;
Żeby to tylko tak życie całe
Sobie na radość, Bogu na chwałę
Zostać, jak dotąd, wiejskim pastuchem!...

Małgorzata.

—

Biały mrozik tajał na młodych listkach świéżo rozkwitłych wierzb na trakcie warszawskim; słońce świeciło jasno, a ostry wiatr szamotał płócienną suknię kobiety, idącéj traktem i wyciągał zpod chustki jasne kosmy jéj włosów.

Kobiéta niosła dziecko jedno, a drugie prowadziła za rękę; w jéj młodéj, miłéj choć spalonéj twarzy był smutek.

— Cyt, cyt, dziewczyno! rzekła po chwili, idziemy do miasta... Przednówek wypędził nas z chaty; nie żałujmy jéj, tam niéma chleba, pomarlibyście z matką. W mieście są ludzie; tam was wychowam na rękach litości.

Biedna! nie wiedziała, że wyciągając rękę po litość, wraz z nią bierze się często poniżenie, i że pierwszy użebrany kęs chleba rzuci łatwo na drogę ulicznego żebractwa, co wstyd z czoła ściera, i niszczy chlubę uczciwej pracy.

Kobiéta nic nie myślała; głód i ubóstwo stępiły w niéj myśl i uczucie—ścisnęła w swym ręku zziębłą, czerwoną rękę syna, i poszła szybko w miasto.

Niejednokrotnie w czasach przednówku ulice Warszawy napełniają się wieśniaczym ludem—w twarzach jego jest bladość ubóstwa i smutek, lecz nie owa bezczelność właściwa żebrakom z professyi.

Małgorzata wszedłszy do miasta, znalazła już w niém wielu znajomych włościan, wiele matek z dziećmi. Stanęła więc w kruchcie kościelnéj, sądząc, że dla wdowy z sierotami najlepsze miejsce pod opieką Bożą.

Żyli z dnia na dzień— chleba im nie brakło, a że człowiek skłonny do złego, Małgorzata też wkrótce zapomniała o pracy; gwarząc z sąsiad-

kami i rachując zebrane grosze, nie zważała, że dzieci już podrosły w żebractwie.

Chłopiec pamiętał jeszcze rodzinną wioskę; od czasu do czasu płakał, chciał się wrócić, wreszcie umilkł i zapomniał—dziewczyna pamiętała już tylko dni tułacze; nauczyła się biegać za przechodzącymi i wyłudzać grosz pacierzem.

Jednego dnia w jesieni, rankiem, kobiéta owa zbudziła się na barłogu w sieni opustoszałego domu; dzieci już nie spały, chłopiec wkładał sukienkę, dziewczyna wiązała chustkę, mówiąc:

— Pójdź Piotrek, wyprosimy sobie jaki grosz na bułeczki, jabłka.

— Żeby tylko dali!

— Nie bój się, umiem wyprosić: do pocieszenia Pana Jezusa... Zdrowaś Marya łaskiś pełna... do ukochanéj Matki naszéj Częstochowskiej na Jasnéj-górze...

I zaśmiała się dziewczyna; roześmiał się i chłopiec, że siostra tak dobrze naśladuje żebraczki stare zpod kościoła—tylko matka w barłogu zadrżała. Pojęła raz pierwszy, do czego ją i dzieci doprowadziło życie próżniactwa i włóczęgi. Porwała Piotrka i Ankę na ręce, chcąc ich unieść daleko, po chwili jednak wrócił jéj rozum, kazała dzieciom uklęknąć, mówiąc:

—Módlcie się, Bóg nas sprawiedliwie dotknął, musimy żebrać; dawniej nie żebraliśmy... Ojciec miał chatę i chléb własny; wynosiłam was na łąkę, bawiłam kwiatami, sama rozdając chléb ubogim. Ale los się zmienił, i na nas przyszła zła dola. Byłyście wtedy jeszcze małemi; Anulę wyniosłam z wioski na ręku, Piotrka prowadziłam za rękę, kiedy nas głód wypędzał z chaty... Dni głodu przeszły, matka odzyskała siły—dzieci! trzeba się modlić w cichości, nie w tłumie ulicznym, i pracować; żebrać jest wstydem.

I mówiły szybko modlitwę Pańską dzieci, nie rozumiejące dobrze słów matki, strwożone jednak ich gwałtownością.

Kobiéta odziała się płachtą, owiązała dzieciom gałganki i poszła szukać dla siebie pracy, a z nią godziwego zarobku. Anula dziwiła się, że dzisiaj nie siadają, jak zwykle pod murem, Piotrek patrzył w oczy matce—Małgorzata poszła więc szukać zarobku. Jedne i drugie drzwi się otwarły, znalazł się grosz codzienny dla żebraka, ale pomocy stanowczej nie było.

— Nie o jałmużnę proszę, odpowiadała biedna kobieta, odsuwając rękę dającą, ale dajcie mi pracy, abym za nią dzieci moje wyżywić mogła.

Tak przeszło dni kilka, uboga matka uważała je za dni próby, i w istocie tak było. Wieczorem Piotrek opowiadał Ance o chacie i drzewach zielonych rodzinnéj wioski, którą z upodobaniem odgrzebywał w pamięci; Anka uchwyciła matkę za suknię, wołając z płaczem:

— Wróćmy do domu!

Kobieta pobladła.

— Czekajcie, rzekła, w naszéj wiosce dzieci umieją modlić się, czytać i pracować; wy nic nie umiecie, tak was pokazać nie mogę. Zostaniem jeszcze rok w Warszawie, ja w służbie, wy na nauce; ja się wprawię znów w robotę, wy zapomnicie o żebractwie i wrócimy z wiosną do domu, do krewnych, do łąki i kwiatów.

Chłopiec i dziewczyna milczeli, kobieta znów poszła pukać w drzwi miłosierdzia, i tym razem nie próżno. Pobożny kapłan umieścił ją na robocie, dzieci zamknął w Ochronie.

Tak przeszedł rok cały.

Zazieleniła się ziemia, wiosna rozwijała pierwsze kwiaty, cała natura rozpoczynała wielkie i dobroczynne dzieło żywienia człowieka. Na Warszawskim trakcie młode gałązki wierzby spuszczały się ku ziemi—od Warszawy postępowała kobieta z dwojgiem dzieci.

Wieże i mury stołeczne poza nią ginęły, a ona z twarzą zwróconą ku zielonym wioskom, śpiewała pieśń pobożną. Suknie jéj były porządne, lica pogodne lubo wzruszone; w chustce niosła do domu na przyszłe gospodarstwo dziesięć zarobionych talarów. Była to Małgorzata. Anka i Piotruś rozdzieliwszy między siebie tłumoczki matki, nieśli po cząstce jej ciężarów; w dziecięce ich serca powróciła bojaźń Pańska, a prowadził Stróż-Anioł. I drużyna ta szła w milczeniu, aż naraz matka wykrzyknęła wesoło:

— Widać, widać Żytniewo!

Dzieci klasnęły w ręce, całując się z radości, a na wzgórku śród młodego zboża i gryki, ukazała się wioska pełna chatek, zabudowań, ogrodów, ponad któremi w górze sterczały gniazda bocianie i studziane żórawie. Wejście do wioski rozpoczynał krzyż z wyklęczaną murawą, a zamykał wioskę las sosnowy siniejący na widnokręgu.

Małgorzata nie mogła łez wstrzymać; płacząc, modląc się, liczyła dni owego wygnania i czuła godność człowieka, co się własną pracą wyży-

wić potrafi, żyjąc wśród rodziny. Piotrek zaś wziął siostrę za rękę i ciągnąc ją naprzód, wołał:

— Chodź, chodź, może ja poznam, gdzie była dawniéj nasza chata.

Wiadomość o nowych książkach dla ludu.

Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego,

przez W. Wielogłowskiego

(Wydanie 3cie. Kraków 1857 r.)

—

Autor Obrazków tych, pełen miłości dla ludu wiejskiego, wniknąwszy w jego życie i zbadawszy je dokładnie, pragnął w przykładach jasnych, prawie dotykalnych, przedłożyć mu przed oczy przyczyny powszechnego niemal pomiędzy nim ubóstwa, pochodzącego głównie z ciemnoty, lenistwa i opilstwa; radami zaś zdrowemi i trafić zdolnemi do pojęcia czytelników, dla których książka ta głównie jest przeznaczoną, nietylko przekonać ich o potrzebie poprawy, lecz nadto podać ku temu środki zaradcze.

O ile Obrazki te zostały przez powszechność ocenione, najlepszym dowodem jest to, iż się w krótkim czasie trzeciego wydania doczekały. Wydanie obecne, o którém mówimy, wyszło w jednym obszernym tomie, zawierającym stronnic 400, i obejmującym sześć obrazków razem zebranych, mianowicie: 1. *Leniwy Bartek.* 2. *Kuba jarmarczny.* 3. *Franek pijanica.* 4. *Wsiowi złodzieje.* 5. *Grzeszni rodzice* i *występne dzieci.* 6. *Narada gromadzka.*

Cała ta tak obszerna, a użyteczna książka, kosztuje tylko złp. 6 czyli kop. 90. Wszystkie powyższe obrazki skreślone są po mistrzowsku, bo im poczciwa chęć i uczucie chrześciańskie przewodniczyło; językiem ludowym (okolic Krakowa) i w formie najprzystępniejszej, bo w rozmowach.

W pierwszym obrazku, pod tytułem *Leniwy Bartek*, daje nam autor wyborny obraz włościanina, co przeszedłszy z pańszczyznianego na czynszowego gospodarza, nie czując już nad sobą opiekuńczéj, choć karzącéj w potrzebie ręki pana, zaniedbuje się tak dalece w robocie, iż jego pole ani uprawione, ani zasiane; że nie ma już w domu ani garstki zboża do siewu i na życie, a pomimo to nie chce mu się iść na zarobek. Woli kilka złotych wydurzyć, lub rolę swą wynająć, nie pomnąc, co to będzie począć dalej bez roli i pieniędzy; a nawet do tego stopnia o własne dobro jest niedbały, że mu nawet kupca na rolę poszukać zbyt ciężko — radby, ażeby mu wszystko przyszło do chałupy: kupiec i pieniądze i strawa. Ale wiadomo, że pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki. Jeżeli więc trafił się kupiec na rolę, to dawał nawpół darmo, a leniwy Bartłomiej na wszystko przystawał, aby tylko lenistwu swemu dogodzić. Marnował więc rolę za psie pieniądze, które wprędce zmarnotrawił na rozmaite przysmaki, bo był żarłokiem i lubił dużo i tłusto zjeść, choć na chleb nie zapracował.

Pomimo że cały Boży dzień nic a nic nie robił, jednakowoż utyskiwał wciąż i na brak czasu, którego nie pożytkował, i na ciągłą pracę, do któréj się nie brał. Tak tedy widzicie moi ludzie, że *gdzie niema kary, tam niema i miary*, i że gdy oko i ręka pańska nad Bartłomiejem czuwać przestały, to go za próżniactwo chłostać zaczął Bóg, aby go przywieść do poprawy; a chłosta Boża cięższa od chłosty ludzkiéj. Ale nie uprzedzajmy wypadków, przysłuchajmy się raczéj *pogawędce przed chałupą* tegoż Bartłomieja z młynarzem, która nas najlepiéj co do usposobienia Bartłomieja, jako i co do sposobu traktowania przedmiotów objaśni:

Młynarz. Cóż porabiacie Bartłomieju, zdrowiście dobrze?

Bartłomiéj. Oj tak tam, za wolą Boską!

Młynarz. Wygrzewacie się jak widzę przed chałupą; nie macie to co robić, zasieliście już?

Bartłomiéj. Ej! gdzietam zasiałem, czemże miałem zasiać, kiedy nie mam ziarna.

Młynarz. To sobie kupcie Bartłomieju, a zasiejcie, bo po cóż ma rola próżno leżeć?—albo też sprzedajcie pola na trzy lata, to weźmiecie z pięć talarków.

Bartłomiéj. Jużciby tak trzeba zrobić i sprzedać, ale człowiek nie ma czasu za tem chodzić. Gdybyście wy chcieli chwycić, tobym wam spuścił stajanko.

Młynarz, Dlaczego nie? ja chwycę choćby i dwa stajanka, ale i tak wam pola zostanie, tobyście mogli obsiać resztę dla siebie.

Bartłomiéj. Przecieście słyszeli kmotrze, że ziarna nie mam.

Młynarz. Będziecie mieć za co kupić, gdy u was chwycę rolę i wyliczę wam talary.

Bartłomiéj. A wystarczy to na siew? przecież trzeba kupić pierwéj na chleb, choćby pół korca jakiéj życiny.

Młynarz. Na chleb? to zarobicie sobie wedworze, wszak tam zawsze jest zarobek.

Bartłomiéj. A juściby się tam i przydało zarobić, gdyby dobrze zapłacili.

Młynarz. A źle to płacą we dworze? przecież dają po złotemu, a chłopu to i po sześć czeskich (1).

Bartłomiéj. Ej to mało; urobić się to człek przez cały dzień, urobi.

Młynarz. A gdzież więcéj płacą?

Bartłomiéj. Za Krakowem więcéj płacą, bo dają po 2 złote i jeść.

Młynarz. To idźcie za Kraków, i zaróbcie sobie na chleb.

Bartłomiéj. Ej, kiedy daleko, nie chce się chodzić.

Młynarz. To się najmijcie do stawiarki, bo płacą po 12 groszy od siąga (2).

Bartłomiéj. Kiedy mało, a robota ciężka ziemię do góry taczać.

Młynarz. Przecież chłop zarobi złp. 2 gr. 12 na dzień, bo jakby nic, sześć siągów urwie do wieczora; a robota w miejscu, nie trzeba jéj daleko szukać, i na południe można iść do chałupy.

Bartłomiéj. Ej kiedy mało dwa czeskie od siąga, może dadzą więcej, toby tam człek zobaczył, choćby późniéj.

Młynarz. Nie gadajcie próżno Bartłomieju, bo dobrze płacą, a macie pieniądze i robotę w domu jakby w garści.

Bartłomiéj. Juściby tam i było, ale kiedy robota ciężka i trzeba krzyżów nałamać. Choć teraz człowiek przymrze głodu, to się przynajmniéj nie urobi. Gdyby się zaś trafiła lżejsza robota, tobym może i poszedł.

Młynarz. To idźcie dach pobijać, bo już stodołę zbudowali, a płacą po sześć groszy od wybicia kopy gontów; dobry chłop to najmniéj 15 kóp na dachu wybije.

Bartłomiéj. Ej kiedy mało płacą, gdzieindziéj płacą po 7 groszy, a w Krakowie to zapłacą czasem i 8.

Młynarz. Nie bajcie próżnych plotek gospodarzu, bo za 6 groszy człowiek obstoi.

Bartłomiéj. Takci tam obstoi, mój młynarzu, obstoi—miły Boże za te trzy złote na dzień, to niewiedzieć, coby i kupić: czy chleba, czy też soli, czy przyodziewkę?—zdałaby się i szkapa, choćby robić ze sprzężajem. Na nic to mój młynarzu, na nic—człowiek się natrapi i tyla...

Młynarz. A i cóż będziecie robić Bartłomieju, gdy nie zasiejecie? z czego wy będziecie żyć cały rok?

Bartłomiéj. Trzeba tak będzie jako kręcić, choćby też sprzedać i sąsiek, albo z pół chałupy? Możebyście młynarzu kupili? Gdybyście mi chcieli wcześniéj dać pieniądze, tobym wam i taniéj spuścił.

Młynarz. A gdzież z dzieciskami będziecie utykać Bartłomieju, jak sprzedacie chałupę?

Bartłomiéj. Juźcić na tę zimę, tobym sobie jeszcze zostawił izbę, a przedałbym tylko sień, stajnię i komorę, a potem to jakbym tam widział... Możeby się i reszta sprzedała i poszedłbym w służbę.

Młynarz. A drobne dzieci, w coby się obróciły?

Bartłomiéj. Ej co starsze, toby poszły do sąsiadów za bydłem, a młodsze puściłbym na wieś, niechby sobie tam uprosiły.

Młynarz. Oj źle, grzech zmarnować tyle pola i takiego gruntu i łąkę, a o próżną rzecz, że się robić nie chce, i t. p.

Daléj następuje rozmowa Bartłomieja z sołtysem, upominającym się o zaległy podatek, którego ten nie ma czem zaspokoić. Naglony przez sołtysa i zagrożony exekucyą, udaje się wreszcie do dworu pożyczyć pieniędzy, na odrobek niby; a że właśnie dwór potrzebował ludzi do rozmaitych robót, nie trudno więc było zgodzić się i Bartłomiejowi do pobijania stodoły, o czem się dowiadujemy z rozmowy jego z panem we dworze. Ale jemu, jak wiemy, nie chodziło o robotę, lecz o wydurzenie pieniędzy—jak więc zaczął molestować u pana, że nie ma na siekierę, bez któréj roboty rozpocząć nie może, jak się zaczął zarzekać, że ani dnia nie zmarnuje a zaraz się weźmie z pomocnikiem do dachu, aby tylko wielmożny pan pożyczył mu i na garść ziarna do życia, bo nie ma o czem pracować, a żona i dzieciska w domu głodne, tak dobrotliwe panisko, chcąc przyjść w pomoc podupadłemu gospodarzowi, pożyczył mu 1 reński na siekierę (3) i jeszcze 5 reńskich na podatek i zboże do życia.

(1) Jeden czeski znaczy groszy pol. sześć (czyli kop. trzy).—sześć więc czeskich uczyni złoty jeden gr. sześć (czyli kop. 18).

(2) *Stawiarka*, kopanie rowów.

(3) Na monetę tę rachują w całem państwie austryackiem, złoty reński wynosi złp. 4, czyli kop 60.

Ale jak tylko Bartłomiej dostał pieniędzy, tak zaraz poszedł do arendarza na gorzałkę; potem do miasta, gdzie nakupił zboża i okrasy—o zapłacie podatku albo o odrobku zaliczonych pieniędzy we dworze ani pomyślał, bo mu było daleko wygodniéj po kluskach ze szperką wylegać się w chałupie. Tak się był już bowiem rozleniwił, że mu się nietylko do roboty, lecz nawet do kościoła ani do spowiedzi pójść nie chciało, i kiedy dobrodziej (proboszcz) przysłał do niego organistę, strofując i wzywając do Wielko-Nocnéj spowiedzi—a ma to człowiek czas chodzić, albo i pochwalić Boga, odrzekł Bartłomiej—człowiek się napracuje, to i o wszystkiém zabaczy.

I tak schodziło Bartłomiejowi odednia do dnia; tymczasem sprzedawało się, co jeszcze było i sprzęty z chałupy i szczepki z ogrodu, nie myśląc o jutrze—aż wreszcie razu jednego zbuchawszy pełną misę skradzionego z pańskiego pola grochu, mocno zaniemógł; wtedy kobieta jego udała się z płaczem do dworu o ratunek. Pan lubo markotny o swoję krzywdę, co go był tak Bartłomiej zarwał, dla miłości Pana Boga, nietylko nie odmówił swéj pomocy, lecz sam nawet poszedł do jego chałupy, i tam wyrozumiawszy, co mu jest, dał mu lekarstwo na wymioty, zalecając jak najusilniej, iżby nic do ust nie wziął, dopóki go znowu nie odwiedzi. Tymczasem Bartłomiejowi, co był wielkim żarłokiem, gdy mu się nieco lżéj zrobiło, zażądało się gwałtem świéżego chleba. Naprożno kobiéta prosiła, molestowała, nic nie pomogło; musiała sprzedać żarna żydowi i świéżego chleba od sąsiadki kupić. Jak go się dorwał Bartłomiej, a był prosto z pieca, tak go się objadł, iż gdy się wody po nim napił, zaraz dostał okropnéj kolki, i przy braku stosownego ratunku, w okropnych męczarniach ducha wyzionął, nie oczyściwszy sumienia swego spowiedzią i nieopatrzony na drogę wieczności ani olejem ś., ani modłami kościoła.

Tak skończył leniwy Bartek, nieżałowany przez nikogo, gdyż wszystkim był ciężarem i dużo ludzi nakrzywdził i nazarywał, dzieci swoje od małego do kradzieży przyuczał i przyniewalał. Skończył jak nieboskie stworzenie, niepochowany nawet na poświęconém miejscu, gdyż przed śmiercią nie pojednał się z Bogiem.

O moi ludzie! każdego z nas podobna kolej czeka, jeżelibyśmy poszli tą drogą, jaką poszedł Bartłomiej, jeżelibyśmy więcéj umiłowali lenistwo, które jest jednym z siedmiu grzechów głównych, aniżeli pracę, która jest jedyném rzetelném bogactwem i jedna nam łaskę u Boga. Ażebyście łatwiej tego złego uniknęli, posłuchajcież zbawiennych rad, jakiemi zacny autor téj książki, obrazek swój zakończa:

1. Skoro masz iść do jakiéj pracy, a mówisz sobie: *poszedłbym*, albo *trzebaby może iść*, to już źle; tylko mów: *idę do roboty*, albo *jadę w pole.*

2. Kiedy masz iść do jakiéj pracy, a zamiast się przeżegnać i wezwać Boga o pomoc, czapkę dźwigasz i w głowę się drapiesz, to już źle; bo znać, że cię praca świerzbi i radbyś się od niéj wykręcić.

3. Kiedy idąc do roboty, pogarbisz się i głowę zwiesisz, a powłóczysz nogami, jakby były nie twoje, to już źle; jużbyś chciał, aby czas przed tobą uciekł, a ty przed pracą.

4. Kiedy masz iść do roboty, a radzisz się sąsiada, *czy, iść albo nie iść*? to już źle; bo czekasz, aby ci odradził, a powiedział ci: jeszcze zrobicie na czas sąsiedzie, nie ma wam się po co spieszyć.

5. Kiedy masz iść do roboty, a głośno ci się ziewa i ręce przeciągasz, to już źle; bo widać, że cię leń tak na wnętrzu morzy.

6. Kiedy potrzebujesz zarobić na podatek, zasiew, spłackę, albo na kupno konia, krowy lub cielęcia, a dopytujesz się wszędzie, gdzie najdrożéj płacą, to już źle; bo chciałbyś raptem dużo urwać, a potem ustać. I koń gdy się od jadła przesyci, to chory, ale jak mu dać w miarę, choć ciągle i codzień pracuje, to zdrów, a nawet się wypasie. Dlatego nie bądź łakomym na duży zarobak, ale staraj się o ciągły choćby mierny. Składaj grosz do grosza, złoty do złotego, a przyjdziesz do majątku—kto zaś nagle chciałby się wzbogacić, ten nie utyje, lecz się może schwacić. Kraków nie razem zbudowali, tylko budowali go wiele lat; a tybyś mój człowieku chciał odrazu i chałupę sobie wystawić za parę dni zarobku, i krowę kupić, a nawet i konia, gdyby też można—i wóz, gdyby co zostało. Poczekaj człowieku, przyjdziesz do tego wszystkiego, a nawet i babie kupisz korale i dziewusze paciorki, tylko pomału. Pracuj, a nie pytaj, czy ci grosz więcéj na *ogranicy* zapłacą, tylko skoro ci dają w miejscu przyzwoity zarobek, to się go chwytaj, a tak rób, iżby ci powiedziano: przyjdziesz jutro i pojutrze mój człowieku, bo widzimy, żeście człowiek dobry i sprawiedliwy.

7. Gdyby wam kto mówił: czegoż też cieka-

wi jesteście do téj roboty, kiedy wam pan i tak drożéj nie zapłaci, to odpowiedzcie, żeście słyszeli, jak mówił ksiądz proboszcz na kazaniu z pisma świętego, iż dobry robotnik wart myta swojego. Namowy odwodzącéj was od uczciwej i sumiennéj pracy nie słuchajcie, bo przez takiego buntownika to djabeł mówi, a was kusi.

8. Jak wam kto mówi: po co się zaś macie do takiéj ciężkiéj roboty najmować? to mu odpowiedzcie: cięższa będzie ta święta ziemia, co nas przysypie, jak moja robota, a trzeba ją dźwigać. Za lekką robotę, lekkie też pieniądze; najlżejszy na świecie jest wiatr, a przecież nikt się nim nie upasie.

2. Weź twój zarobek po robocie, a nie przed robotą, to jest nie bierz na odrobek, bo będziesz potem pracował bez nadziei zysku, i zdawać się będzie, ze pracujesz darmo. Gdy inni będą brać zapłatę, a ty pójdziesz do domu z próżnemi rękami, będziesz sobie myślał, żeś ty łaskę zrobił, żeś pracował, a tymczasem ten ci wyświadczył łaskę, kto ci dał pierwéj i bez lichwy.

10. Ucz się wszelkiéj pracy, a nie mów: obejdę się tam, choć nie umiem robić siekierką, bo za to umiem orać. Najprzód, jeśli ci się zepsuje pług, radło, albo brona, to błogo ci będzie sobie naczynie naprawić, i nie chodzić na drugi koniec wsi do kołodzieja; a potem znowu, gdy ci się trafi zarobek z siekierką a nie z pługiem, to sobie możesz grosza uzbierać. Czasem mówicie: a nie ciekawym tam uczyć się drzew szczepić, bo jest tam taki na wsi, co szczepi. A gdy ten człowiek umrze, to albo sadu nie zaszczepisz, albo na ogranicy dużo człowiekowi musisz zapłacić.

11. Mówicie czasem: byłem tam wczoraj u roboty, to sobie dziś wypocznę. Już dzisiaj chcesz wypoczywać, żeś trzy siągi rowu wybrał? Pan Bóg, co świat cały stworzył, a dopiero siódmego dnia wypoczywał, a tyś trochę błota z rowu wyrzucił, i już chcesz wypoczywać.

12. Jak skończysz pracę, nie stękaj jako koń albo wół, nie narzekaj i nie skarż się, ale podziękuj Panu Bogu, że ci dał siłę do pracy, że ci za pracę twoję udzielił chleba powszedniego. Tak rób, a dorobisz się nietylko szczęścia na ziemi, ale i w niebie.

—

Prócz rad powyższych, autor owéj książeczki, zamieścił na końcu obrazku, uwagi: *Jakie są skutki lenistwa czyli próżniactwa*, i jakie są korzyści z pracy, dowodząc w nich, iż koniecznemi następstwami próżniactwa, są: naprzód: *ubóstwo*, potem *oszustwo*, daléj *upodlenie*, wreszcie *kryminał*. Korzyściami zaś pracy jest porządek i ład w domu, bogactwo w bydle, uprzęży i naczyniu, zgoda w pożyciu małżeńskiem, uczciwe obyczaje i błogosławieństwo Boże.

Każdy więc z was byłby chyba własnym nieprzyjacielem, gdyby nie odrzucił pierwszego, a nie wybrał drugiego—jeżeliby zaś to, cośmy tu w przedmiocie lenistwa przywiedli, nie zdawało się wam dostatecznem, jeżelibyście pragnęli dowiedzieć się szczegółowiéj, jaką koleją doszedł Bartłomiéj do zupełnego upadku i nędzy, to przeczytajcie książeczkę, o któréj wam mówimy. Dla kogoby zaś cała ta książka była za drogą, to niech sobie kupi pojedyńczy taki Obrazek, którego za jednę złotówkę w każdéj księgarni dostanie, a który w ręku każdego rolnika znajdowaćby się powinien.

Sposób ugaszenia zapalonych sadzy w kominie.

—

Sposób ten zasadza się na użyciu tak zwanego kwiatu siarkowego, który jest zwyczajną siarką, tylko w bardzo drobnym proszku. Kiedy się w kominie sadze zapalą, potrzeba wylot komina nad dachem zakryć, a trzon jego na dole osłonić, a to dlatego, ażeby nie dopuścić rozchodzenia się gazu po mieszkaniu, gdyż ten sprawia kaszel, krztuszenie się, i psuje sprzęty metalowe, a następnie garściami rzeczoną siarkę na palące się drwa lub węgle rzucać. Powstały tym sposobem gaz (kwas siarkowy), wzniosłszy się do góry, niezwłocznie ogień w kominie zagasi. Kilkakrotne doświadczenia przekonały o niezawodności tego środka. Chociażby płomień do pięciu łokci wznosił się już nad kominem, kilka minut czasu wystarczy do ugaszenia go zupełnego.

Po wsiach niekiedy, dla braku siarki, strzelają w komin ślepym ładunkiem; sposób jednak ten nie zaleca się do naśladowania, gdyż silne wstrząśnienie powietrza sprawić może pęknięcie ścian komina, i udzielenie się ognia do wnętrza pomieszkań.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować. Warszawa d. 18 (30) listopada 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.